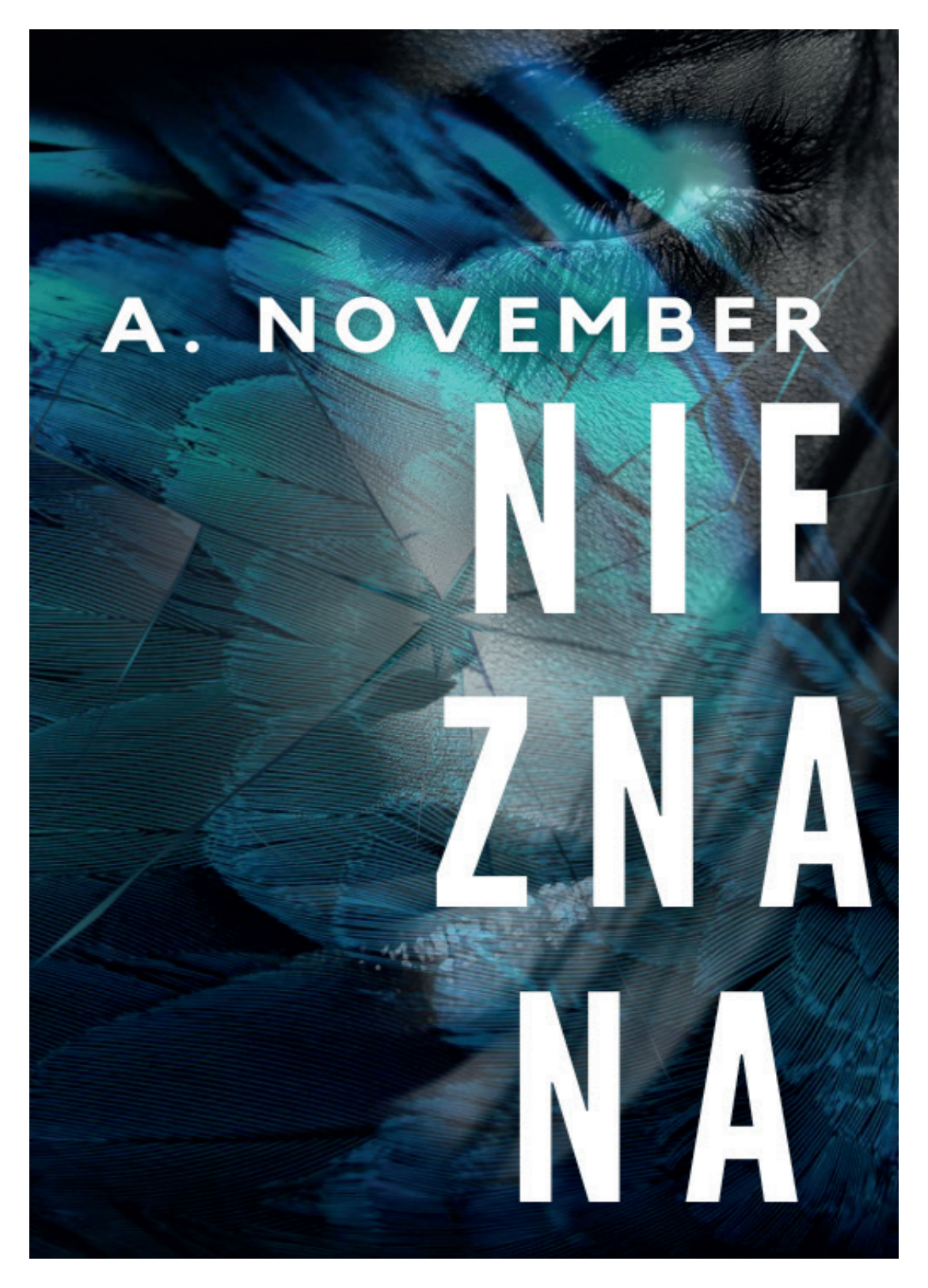




A. NOVEMBER

NIE
ZNA
NA

Copyright© Tekst by A. November
Copyright© Wydawca A. November
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE, ŚREM 2025

Redakcja: Agnieszka Dudek
Korekta językowa: Agnieszka Dudek
Projekt okładki: Agnieszka Dudek
Zdjęcie: Stock Pictures
Łamanie, skład i konwersja plików:
Małgorzata Wiśniewska (@fabryka.skladu.ksiazki)

Wydanie 2

ISBN: 978-83-964989-3-9

A. NOVEMBER

NIE

ZNA

NA

*Dla mojej mamy Elżbiety Urszuli Anny
Kocham Cię*

Od autożki

Jest to historia, która się nie wydarzyła... choć mogła zdarzyć się podobna.

Jest tyle zła i okrucieństwa w naszym świecie, iż pisanie o takich zdarzeniach i ludziach powinno nas obudzić oraz pozwolić bardzo poważnie podejść do tematu, jakim jest *human trafficking*.

Handel ludźmi, zwany też handlem żywym towarem – to nazwa przestępczego procederu, będącego współczesną formą niewolnictwa.

Początkowo pod tym pojęciem rozumiano wyłącznie handel kobietami, zmuszanymi do prostytucji, jednak znaczenie pojęcia uległo sporemu rozszerzeniu i dziś obejmuje wszelkie działania skierowane na wyzysk ludzi, niezależnie od płci i wieku, naruszające prawo do decydowania o sobie.

Wyzysk ten związany jest zazwyczaj z użyciem przemocy, co jest dla ofiar ogromnym obciążeniem fizycznym i psychicznym. Ofiary handlu żywym towarem w efekcie traumatycznych przeżyć często doświadczają chorób psychicznych i popadają w różne formy uzależnień. Wobec ofiar stosowane są działania naruszające ich seksualność, indywidualną wolność i cielesną nienaruszalność.

Ofiary to w większości kobiety i dzieci, jednak nie można tutaj pominąć również mężczyzn. Handel w celach seksualnych obejmuje nabór osób, ich przetrzymywanie, przewożenie lub zmuszanie do komercyjnych aktów nierządu, z użyciem siły, na drodze oszustwa lub pod przymusem, dotyczy także nakłaniania do udziału w tym procederze osób, które nie ukończyły 18. roku życia.

Każdego roku ofiarami handlu w celu seksualnego wyzysku bądź, co jest coraz częściej odnotowywane, składania w obrzędach kultu satanistycznego pada kilkaset tysięcy kobiet i tyle samo dzieci. Ale są to tylko suche statystyki, gdyż nikt nie jest i nigdy nie będzie w stanie podać dokładnych liczb. Ten proceder został tak bardzo rozwinięty na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat, że powstrzymanie go

całkowicie wydaje się w tej chwili nieosiągalne.

Jest raczej pewne, że właśnie tym momencie, w chwili gdy czytasz te słowa, ktoś jest ograbiany ze swojego życia i godności.

*Nie bój się cieni, one świadczą o tym,
że gdzieś znajduje się światło*

Oscar Wilde

PROLOG

Opowiem Ci moją historię, ponieważ chcę Cię ostrzec – diabeł istnieje. Uwierz mi. Zajrzałam w jego oczy.

Jest mi bardzo zimno. Mam dreszcze i moim ciałem rzuca po twardym podłożu, na którym leżę na plecach... Beton?

Otwieram oczy, ale nie mogę nic zobaczyć. Coś zasłania mi twarz i próbuję oddychać głęboko, lecz materiał wpada mi do ust, powodując dławienie.

Co to ma być?! – panika rozsadza mi umysł.

Nie mogę opanować drżenia mojego ciała. Próbuję podnieść głowę. Ogromny ból rozłupuje mi czaszkę. Chcę dłonią dotknąć szyi, piecze mnie tam skóra, ale nie mogę wyciągnąć spod siebie ręki. Mam nadgarstki związane za plecami! Szarpię się, chcę usiąść, niestety moje nogi nie współpracują, są ściśnięte razem... One też są spętane!

Jak to, czy to jakiś żart? Jezu, jakiś chory żart!

– Co jest... Co się dzieje????!! – krzyczę, ale głos tłumi materiał.

Duszę się, szarpię, walczę o oddech.

Cuchnie moczem, w powietrzu unosi się stęchlizna.

Piwnica?

Tak, znam podobny smród, z „domu...”

Z trudem podciągam się do pozycji siedzącej. Serce bije mi tak mocno, że dudni w uszach. Panika rośnie w mojej głowie, bo nie wiem, jak do tego doszło, że tu się znalazłam, i jak mam się uwolnić!

Co mam teraz zrobić? Łzy zalewają moją twarz, wyję bezgłośnie i zaczynam się zanosić od płaczu, ponieważ czuję, że to jednak nie jest żaden żart.

Spotkało mnie coś złego. Bardzo złego.

Łapię spazmatycznie powietrze, moje gardło jest suche i piekące.
I wtedy...

Słyszę dźwięk...

Drzwi, ktoś otwiera drzwi!

Ale ja, zamiast krzyczeć i błagać o pomoc, nieruchomieję, bo nagle dociera do mnie, że ten, kto te drzwi otworzył, nie przyszedł mi pomóc.

ROZDZIAŁ 1

Właściwie samo to, że się żyje, jest już czymś cudownym

Danuta Szaflarska

Abigail

Nie pamiętam, ile miałam lat, gdy dowiedziałam się, że moi rodzice, Jack i Jill Sandersonowie, nie byli moimi prawdziwymi rodzicami, a moi bracia i siostry nie są moim rodzeństwem. Byłam małą dziewczynką i nie chodziłam nawet jeszcze do przedszkola. Pamiętam jednak dzień, w którym brutalnie przedstawiono mi tę prawdę.

Na dworze padał ulewny deszcz, a ja siedziałam z policzkiem przystawionym do okna i paluszkami śledziłam krople wody spływające po drugiej stronie szyby. Mieszkaliśmy w niedużym mieście Castle Rock w Kolorado.

Mieścina jakich wiele w USA. Zabiegani ludzie, dzieci szalejące w parkach, zakochane pary na ulicach, sklepy pełne młodych gospodyń i kawiarnie wypełnione młodzieżą. Monotonia i nuda, ale lubiłam je, bo było mi bliskie. Wydawało mi się, że wszystkich znałam, a część mieszkańców znała mnie.

Do pewnego momentu. Potem okazało się, że nic nie było takie, jak mi się wydawało, a ludzie tylko myśleli, że mnie znali.

Mieszkaliśmy blisko centrum i szkoły, w małym domku z białym

plotkiem, tyle że bez psa i kota. Znany opis? Oczywiście, przecież dziewczyny marzą o takim domku i rodzinie. Ja też marzyłam.

Moi rodzice byli parą w średnim wieku. Jack – łysiejący pan z piwnym brzuchem, na którym wiecznie obcisłe podkoszulki pokazywały światu tłuste, śmierdzące plamy. Jill – sztuczna blondynka, z napompowanymi wargami i naciągniętymi policzkami, przesadnym makijażem, chuda i bezosobowa.

Ale byli i ich kochałam. Nie zorientowałam się, że oni nie kochali mnie. Myślałam, że tak powinno być. Kochające dzieci i zapracowani, zajęci swoimi sprawami rodzice.

Czy można powiedzieć, że w tym dniu wyświadczyli mi przysługę? Albo sama ją sobie wyświadczyłam? Teraz to nie ma znaczenia, jednak wtedy mój świat runął po raz pierwszy.

Gdy siedziałam tak przyklejona do okna, zaczął boleć mnie brzuszek. Chciałam powiedzieć o tym komuś i zesłam sama powoli po schodach, kierując się do kuchni. Wtedy niechcący podsłuchałam rozmowę moich rodziców. Mamusia kategorycznym tonem, z palcem wciśniętym w tatusia pierś, oznajmiała, że więcej dzieci nie będą przyjmować, bo mają już za dużo bachorów pod dachem.

Było nas czworo – dwie dziewczynki i dwóch chłopców, w różnym wieku, ja byłam najmłodsza. W tamtej chwili nie zorientowałam się od razu, o co mamusi chodzi i o jakich dzieciach mówi. Skąd je miała brać, że nie chciała ich przyjmować? I zmartwiło mnie, że nie chciała przynieść kolejnego dzidziusia. Wydawało mi się, że jest dość miejsca w naszym domu. Miałam nadzieję na nowego członka rodziny, bo niestety, nie dogadywałam się z moim rodzeństwem. Nie lubili mnie.

Dlaczego? Nie miałam pojęcia.

Moje rozważania przerwał głos tatusia. Zauważył mnie i kazał wrócić do pokoju. Mamusia jednak mnie zatrzymała. Wyrażając odrazę do mnie, wykrzywiła swoje pulchne usta i zaczęła nieznaną mi wcześniej tyradę.

Cóż, złapali mnie w końcu na podsłuchiwanie. I tak bez owijania w bawełnę ta, która powinna mnie chronić i o mnie dbać, nie mówiąc już o kochaniu, bezpardonowo oznajmiła mi, że skoro jestem na tyle duża, żeby bezwstydnie podsłuchiwać dorosłych, to również mogę się już dowiedzieć, kim jestem i jakie mam perspektywy na przyszłość.

Czyli dowiedziałam się, że jestem nikim i nie mam żadnych perspektyw, ponieważ jestem podrzutkiem bez nazwiska i rodziny a oni, „rodzice zastępczy”, ze swej wspaniałomyślności przyjęli mnie pod swój dach i zostaną pod nim aż do osiemnastego roku życia.

Potem wynocha!

Gdy byłam już nieco starsza, dowiedziałam się szczegółów. Moje nazwisko brzmiało Doe¹, czyli „nieznana”, a nadały mi go siostry zakonne z klasztoru w naszym mieście, do którego mnie podrzuciono jako kilkudniowe niemowlę. Imię Abigail otrzymałam po świętej, niezwykle pięknej i odznaczającej się rozumą oraz energią w przeprowadzaniu mądrych zamierzeń. Nadała mi je zakonnica, która mnie znalazła w kapliczce. Dzień, w którym się to zdarzyło, stał się dniem moich urodzin – pierwszy grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku.

Nie mogłam przyswoić tego, co w tamtym dniu powiedziała mi Jill. Niczego nie rozumiałam i nie wiedziałam, co się dzieje.

Jak to, moja mamusia i tatuś nie są już moimi rodzicami?

Czy zrobiłam coś złego, czy mnie już nie kochają?

Płakałam wtedy cały dzień, aż dostałam gorączki. Moja „mamusia” nawet nie przyszła do mnie podać mi jakiegokolwiek lekarstwa czy zapytać, jak się czuję i może dobrze, że byłam wtedy bardzo małą dziewczynką, która niewiele z tego wszystkiego rozumiała.

1 Doe – Jane Doe, w USA tak określane są kobiety o nieznanej, niezidentyfikowanej tożsamości, dla mężczyzn używa się określenia John Doe.

W późniejszym czasie „rodzice” pokazali mi swoim zachowaniem, jaki mam mieć do nich stosunek, i wtedy w końcu wszystko zrozumiałam, i zapomniałam, że byli moimi „rodzicami”. Wychowywali mnie, a raczej sama się wychowywałam w przekonaniu, iż jestem nikim i nikim pozostanę. Jak niepotrzebny przedmiot bez wartości, bez nazwy, bez przyszłości. Jak osoba nikomu nieznaną.

Od najmłodszych lat w szkole podstawowej, później w liceum, a następnie na studiach moim głównym celem było dobrze się uczyć i jak najszybciej zdobyć należyte wykształcenie, by stać się niezależną, samodzielną kobietą. Tak naprawdę stać się kimkolwiek, byle tylko być.

Istnieć i mieć jakąkolwiek przyszłość.

Dlatego uczyłam się jak szalona, czytałam książki i zdobywałam wiedzę. Nie miałam czasu na przyjaciół, imprezy czy wyjścia do kina. Wkuwałam, wkuwałam i zakuwałam. Często nie miałam na to siły, ale nie poddawałam się i dalej wkuwałam.

W końcu wyprowadziłam się z tego koszmarnego domu i uwolniłam się od parodii rodziny, z którą mnie związał los. Mamusi, tatusia, dwóch braci i siostry. Ale zanim do tego doszło, musiałam walczyć z nimi o wszystko. Koc do spania, buty do szkoły, kanapki i zwykłe posiłki, które właściwie od ukończenia ósmego roku życia, robiłam sobie sama.

Jill była ciągle zmęczona i zajęta zakupami w Internecie, a Jack był często zbyt pijany. Pił jednak tylko w domu, żeby nikt z sąsiedztwa nie widział jego stanu i nie poinformował opieki. Pieniądze, które dostawali od państwa na nasze wychowanie, szły na picie i ciuchy ze sklepów online.

Czasem jednak był obiad. Niejadalny. Zazwyczaj wtedy, kiedy przychodził do nas ktoś z opieki społecznej i musiał wklepać w system prowadzenie się przykładowej „rodzinki”. Ale my, dzieci, jakoś sobie radziłyśmy. Każdy tak jak potrafił. Niestety ja miałam najbardziej pod górkę, ponieważ nie umiałam kłamać, oszukiwać i być

wredna. I nie mogłam liczyć na nikogo. Przekonałam się o tym, kiedy skończyłam czternaście lat.

Pamiętam, przyszedł taki czas, że Jack zaczął na mnie inaczej patrzeć. Bardzo mi się przyglądał, wypytywał o chłopaków i randki.

Nie, żebym się wtedy jakoś specjalnie mu spowiadała, ale z grzeczności zdawkowo odpowiadałam na pytania. Miałam trzynaście lat i nie w głowie mi były takie rzeczy. Częstotliwość jego pytań na ten temat po jakimś czasie zaczęła mnie zastanawiać, a później denerwować. Zarzucał mi kłamstwo i mówił, że zapewne chłopcy ustawiają się do mnie w kolejce. Jego zdaniem z moją buzią łatwo kogoś omotać, więc na pewno się puszczam niczym tania dziwka.

Byłam zażenowana. Nienawidziłam go. Czasem wyobrażałam sobie, że widelcem wydlubuję mu oczy.

Nie uważałam się za atrakcyjną, bo żadna ze mnie piękność nie była. Miałam nieokiełznane, długie brązowe włosy, duże niebieskie oczy i byłam średniego wzrostu, nie maluch, ale też nie żyrafa. Moja garderoba odbiegała od garderoby innych dzieci w szkole, była uboższa... wiele uboższa. Ubrania nosiłam po starszych dzieciach z domu, które i tak ubierały się w ciuchy z odzysku. Staralam się unikać rówieśników, aby nie śmiali się ze mnie, wytykając palcami.

Jack wywierał na mnie jeszcze większą presję, przesłuchując mnie oraz zmuszając do przynoszenia mu piwa i papierosów do piwnicy. To ciemne, zatęchłe miejsce, było jego sanktuarium. Tam mógł swobodnie pić, spać i sikać pod siebie. Za każdym razem, kiedy musiałam do niego zejść, smród z tego miejsca uderzał w moje nozdrza tak, że kilka razy zdarzyło mi się naciągnąć koszulkę na usta i nos. Dotykał mnie przy przelotnym kontakcie, a kiedy odpychałam jego dłonie, łapał mnie za włosy i potrząsał moją głowę, nazywając małą suką. Szarpałam się z nim i nie zapłakałam ani razu, jednak to też było do czasu.

Pewnego wieczoru, na ironię losu akurat w dniu moich czter-nastych urodzin, załatwił to szybko i sprawnie oraz bardzo boleśnie.

Byłam już w łóżku z jedną z ukochanych książek, kiedy Jack wtoczył się pijany do mojego pokoju i zwyczajnie wszedł mi do łóżka. Wyrwał mi książkę z ręki i solidnie mnie nią uderzył, rozcinając mi przy tym wargę i policzek pod okiem. Nigdy wcześniej tak ostro mnie nie zaatakował. Ogłuszył mnie tym ciosem. Zerwał ze mnie koc, a potem moje majtki. Mój krzyk nie zaalarmował nikogo, wręcz przeciwnie. Wydawało mi się, że czas się zatrzymał, a z nim wszyscy domownicy. Nie słyszałam biegnących stóp i pięści walących do drzwi, żeby mnie uratować. Nie usłyszałam również żadnych krzyków w proteście na mój los. Gdzieś w domu słyszałam nucenie kołysanki, której słowa przerażały mnie teraz bardziej, niż kiedy byłam całkiem małą:

„Wilk wył do księżycy dumnie, lecz los dopadł go w zadumie. Jeden błąd, jeden cios, i na ziemię runął w mrok.”

Nucenie ucichło, kiedy po kilku silnych, dodatkowych uderzeniach w twarz stało się to, czego żaden człowiek nie powinien doświadczyć, a już na pewno nie dziecko. Pamiętam ból w kroczu i krople potu spływające z jego zapitej gęby prosto na moje obolałe policzki. Po wszystkim wybiegł jak szalony z mojego pokoju, mamrocząc pod nosem, iż jestem przeklęta, ponieważ demon pod moją skórą, kusił go co dnia.

Stało się to ten jeden, pierwszy i ostatni raz.

Byłam rozdarta, sponiewierana i brudna. Dosłownie. Płakałam nocami, pytając Pana Boga, dlaczego mnie to spotkało. Potem przez lata, dopóki nie opuściłam domu, słyszałam czasem Jacka w łazience, dyszącego moje imię podczas masturbacji. Dzieci w domu patrzyły na mnie z obrzydzeniem, co najmniej jakbym była temu winna i kazała mu to robić. Ich zdaniem byłam zepsutym bachorem lub jak kto wolał, puszczałską ździrą, która starała się tego nie słyszeć, nadal zakuwając i czytając książki. Na moje szczęście żaden z moich „braci” nie wpadł na podobny pomysł, co Jack.

Jill nigdy nic nie powiedziała o tym, co mnie spotkało, a może

nie słyszała lub nie chciała wiedzieć, co zrobił. Ona w żaden sposób nie zwracała na mnie uwagi, byłam dla niej niewidzialna, co w zasadzie bardzo mnie cieszyło. Nikt nigdy nie poruszył tego tematu, a ja nie miałam komu o tym powiedzieć. Może i miałam, ale wtedy już nie byłam tą samą osobą.

Byłam podrzutkiem, przybłądą. Byłam nikomu nieznaną dziewczynką, jakich system miał pod opieką tysiące.

Skończyłam ogólniak i dostałam stypendium na Uniwersytecie Illinois w Chicago.

Dlaczego tam?

Byleby jak najdalej od Castle Rock.

Stypendium było dla mnie nagrodą za znakomitą naukę, więc opłacało się wkuwać. Rozpierała mnie duma i czułam się podekscytowana. Zapisalam się na Wydział Kryminologii, ponieważ chciałam tworzyć profile osobowości przestępców, robić ekspertyzy i pomagać w analizie zdarzeń podczas prowadzonych śledztw. Bardzo liczyło się dla mnie kontynuowanie nauki i znalezienie w tym czasie pracy.

A taką znalazłam w jednym z chicagowskich Starbucksów, blisko uczelni i kampusu, na którym zamieszkałam, na szczęście sama, w małym mieszkanku. Przywilej dobrych ocen. Pracowałam w barze na dwie zmiany już czwarty rok. Poza stypendium, z którego uczelnia pobierała za naukę i nocleg, miałam tylko ten niewielki dochód. Ale musiałam dawać sobie radę i czasem było w cholerę ciężko.

Moja edukacja zbliżała się ku końcowi, byłam tuż przed obroną pracy dyplomowej, i w zależności od moich zajęć na uczelni często przed pracą lub po niej siadałam z moją ulubioną waniliową latte w zacisznym kącie baru. Staralam się unikać klientów, więc zaszywałam się z książkami przy najgłębiej schowanym stoliku i się uczyłam.

I właśnie w tym miejscu, pewnego majowego popołudnia, zapoczątkowała się cała seria zdarzeń, których jeszcze wtedy nie łączyłam ze sobą. Zdarzenia, po których mój świat wypadł z torów i już nigdy ponownie nie miał na nie powrócić.

Przyniosły one jednak ze sobą coś bardzo ważnego.

Przyniosły nadzieję na to, że stanę się kimś. Kobieta, którą ludzie będą po prostu widzieć. Czasami jedno trafiające w sedno zdarzenie może sprawić, że zmienisz sposób patrzenia na siebie, a to, jak siebie widzisz, jest podstawą poczucia własnej wartości. I tego mi chyba brakowało najbardziej. Uczucia bycia wartościowym człowiekiem.

Zamyśliłam się chwilę, podczas zbierania swoich rzeczy po pracy. Pomimo końcówki maja dzień był chłodny i deszczowy. Spojrzałam przez okno ponad głowami klientów i westchnęłam głęboko. Chciałam słońca i spaceru, spokoju i wytchnienia. Byłam bardzo zmęczona tym rokiem akademickim i niekończącymi się sesjami.

Z zadumy wyrwał mnie głos największej gaduły spośród kelnerów baru.

– Abi, zrobić ci kawusię? Zostajesz dzisiaj się uczyć? – zapytała Doris Riviera moja kumpela ze zmiany, a właściwie pierwsza w życiu przyjaciółka od „zawsze”, czyli czterech lat. I klepnęła mnie przy tym w pośladek.

Złośliwiec.

– Co ty masz, z tym nieustannym oklepywaniem mojego tyłka, gówniaro! – warknęłam do niej.

– Śliczności moje dzisiaj nie w sosie? – zapiszczała mi nad uchem.

Ta latynoska dziewczyna o pięknej twarzyczce, niczym Salma Hayek, drażniła się ze mną i notorycznie klepała po tyłku. Nie dlatego, że wpadłam jej w oko, nic z tych rzeczy. Miała faceta i to bardzo fajnego. Była młodsza ode mnie o dwa miesiące i dlatego uzurpowałam sobie prawo do nazywania jej gówniarą. Bardzo ją lubiłam i jej ufałam. Doris twierdziła, że mam fantastyczny tyłek i kocha go bardziej niż mnie.

Zazdrośnica.

– Tak, chica – odparłam – mam za trzy dni obronę pracy dyplomowej. Zatem rozumiesz moje fantastyczne podejście do życia dzisiejszego dnia, więc nie pogrywaj ze mną i daj mi moją kawę. Czekam przy stoliku. – Zebrałam rzeczy i ruszyłam w stronę mojego kąta.

– Zrozumiałam, jednak nie musisz być wcale taką rozkazującą suką, wiesz? Ranisz moje uczucia i mogę napluć ci do kawy. – Pokazała mi język i poszła robić napój.

Zerknęłam na nią i na odchodne pokazałam jej środkowy palec. Rozłożyłam swoje notatki na blacie, a na oparciu powiesiłam moją ukochaną torbę. Doris nie mogła na nią patrzeć, nazywając ją tobołem, ponieważ była obszarpana i wielka. Mieścił się tam mój mały świat. Kochałam ją i Doris również.

Kiedy zastanawiałam się, od czego mam zacząć dzisiaj naukę, moja przyjaciółka stanęła nade mną z kawą.

– Masz, kwoko, swoją kawusie, a ja zmykam do chaty. Mama ma dzisiaj młyn w domu. Rico przyprowadza przed pracą bliźniaki do pilnowania – westchnęła, stawiając kubek na stoliku.

Rico to brat Doris i jest policjantem. Kiedy ma popołudniowe bądź nocne zmiany, podrzuca swoje trzyletnie bliźniaki swojej matce i siostrze. W tych godzinach dzieci nie mają już zajęć w żłobku. Facet jest bardzo przystojny, ale samotny. Wcześniej został wdowcem, ponieważ jego żona, Maria, zmarła przy porodzie. Wszyscy przeżyli wtedy ogromną tragedię, jednak ruszyli do przodu i bardzo się przy tym wspierają do tej pory. Świetna rodzina.

Taka, jaką mogłaby być moja.

– Dziękuję za wszystko, co dla mnie robisz, chica. – Złapałam ją za rękę. – Wiesz, że nie jestem suką na co dzień, tylko od święta. – Wyszczrzyłam zęby i pokazałam jej mój najlepszy uśmiech.

– I oczywiście mam ci uwierzyć. Zapomnij – parsknęła Doris.

– Biegnij do domu, a ja posiedzę z godzinkę, żeby Don Kubek się nie przyczepił, że zajmuję miejsce dla klientów. – Potarłam dłonią zmęczony kark, myśląc o naszym kierowniku zmiany, pacanie Don Marco, jak kazał zwracać się do siebie. Był małym, łysym świntuchem pod sześćdziesiątkę, rzucającym nam podteksty seksualne, ale na szczęście na tym się kończyło i nie był groźny.

Piękna Latynoska przerzuciła swoją torebkę na ramię, poprawiła

włosy w lustrze znajdującym się na ścianie przede mną. Siedziałam tyłem do sali, aby nie rozpraszać się wchodzącymi do kawiarni klientami. Dała mi buziaka w policzek i wyszła. Zostałam sama ze swoimi notatkami. Przełożyłam moje długie włosy na jedno ramię, zarzuciłam na głowę kaptur od bluzy, i zabrałam się do nauki.

Po godzinie przekładania kartek i gniewienia w ręce pustego kubka po kawie, usłyszałam za sobą jakieś zamieszanie. Lekko odwróciłam głowę, aby spojrzeć za siebie i dowiedzieć się co to za hałasy. Ku mojemu zaskoczeniu do kawiarni weszło pięciu postawnych mężczyzn, ubranych w czarne bojowe stroje. Jakaś specjalna jednostka Policji? Zdziwiłam się.

Nie chciałam się na nich gapić, aby nie ściągnąć na siebie uwagi. Odwróciłam się, spuszczać głowę, a mężczyźni zaczęli rozsiadać się przy stoliku tuż za mną. Spojrzałam odruchowo na ścianę naprzeciw mnie, na której wisiało lustro. To, co zobaczyłam, wprowało mnie w zakłopotanie.

Pięciu wspaniałych. Tak mogłabym ich określić.

Naprawdę potężni faceci. Przystojniaki, nie ma co! Czterech ściągnęło swoje dżokejki z głów, zajmując miejsca przy stoliku, a jeden z nich pozostający w czapeczce usadowił się za mną. Odsuwając swoje krzesło, uderzył nim w tył mojego.

Spojrzałam ponownie w lustro.

Nie widziałam jego twarzy, ponieważ zasłaniał ją daszek dżokejki, ale wydawało mi się, że jest najlepiej zbudowany z nich wszystkich. Tak, zdecydowanie największy i najbardziej budzący respekt.

Wszyscy byli... groźni?

Mężczyzna spojrzał również w lustro, ale ja szybko opuściłam głowę, wpatrując się w kartki i nie złapał mojego wzroku. Burknął pod nosem „sorry” i to mnie poruszyło, ponieważ jego głos, choć cichy, przeszył na wskroś moje zgarbione ciało.

Cholera.

Rozsiedli się wygodnie i zaczęli stłumioną rozmowę, której urywki wyłapywało moje ucho. Nie chciałam podsłuchiwać, ale

trudno było nie zwracać uwagi na nich i na to, co mówią. Wypełniali sobą całą znajdującą się za mną przestrzeń. Rozmawiali o odbytym przed chwilą treningu na strzelnicy, przekomarzali się i popisywali swoimi wynikami. Takie zwykłe męskie pieprzenie, lecz w którymś momencie zrobiło się jakby ciszej.

Ponownie spojrzałam w lustro i zauważyłam, iż blondyn o jasnych oczach, urodą przypominający kalifornijskiego chłopca z deską surfingową, siedzący do mnie bokiem, zniżył głos, szepcząc do pozostałych. Po jego lewej stronie facet o ciemnej karnacji, zapewne Latynos, pokręcił przecząco głową, mówiąc: „nie, to się nie wydarzy”. Na jego słowa brunet siedzący na rogu prychnął i przetarł dłońmi swoją twarz, ukazując zmęczenie problemem, o którym rozmawiają. Blondyn zwrócił się do niego i zadał mu pytanie.

– Bronx, co mówiłeś mi, kurwa, przed pójściem na strzelnicę?

Facet się wyprostował i ujrzałam dużą bliznę przecinającą jego policzek od ust aż po skroń. Była bardzo widoczna, co wzbudziło moje zainteresowanie, ponieważ miał naprawdę ładną twarz. Czarne, faliste, dłuższe włosy opadały mu na kark, a nagie przedramiona ukazywały na oliwkowej skórze zawile wzory. Nie wyglądał jednak na kogoś o latynoskich korzeniach.

Bronx skrzyżował swoje ogromne ramiona na piersi i odezwał się, bardzo cicho i wolno wymawiając swoje słowa, dzięki czemu mogłam coś usłyszeć:

– Ash, powiedziałem ci, że nie podobają mi się sprawy, i to, jak potoczyły się ostatnim razem. Ale to jest kolejny termin, kolejny miesiąc i nie możemy dłużej czekać, ponieważ straty są coraz większe. Nie możemy dłużej pozwalać, aby to się działo. – Bronx odwrócił głowę w prawo i spojrzał na Pana Burczymuchę, jak w myślach nazywałam tego w czapeczce, po czym ponownie się odezwał:

– Dlatego myślę, że K. ma rację, musi w to zagrać sam. – Blondyn Ash wypuścił powietrze z płuc, zwracając się tym razem bezpośrednio do gościa w dżokejce.

– K., kurwa! Nie myślisz poważnie, przecież to może się nie udać. – spuścił głowę, kręcąc nią w zaprzeczeniu.

Ach, więc Pan Burcymucha to K.

Mężczyzna spojrział w bok i zaczął skanować powoli salę oraz znajdujących się w niej ludzi, po czym nie odrywając od nich wzroku, odezwał się tym swoim głębokim, lekko zachrypniętym głosem, wprawiając moje ciało w przyjemne mrowienie:

– Będzie, jak wam powiedziałem, nic się w tej kwestii nie zmieniło – westchnął. – Bronx ma rację, to się nie może dłużej dziać. – Odwrócił głowę w stronę Asha.

– Albo w tym jesteś, albo nie, żołnierzu.

Cholera! Złapałam powietrze w płuca. Czy to są wojskowi? Żołnierze? Skąd oni się tu wzięli i o czym rozmawiają? A może to mafia? Oni też mają żołnierzy.

Jezu... Wyprostowałam się, zatrzasnęłam książkę i zaczęłam szybko zbierać swoje kartki do segregatora, po czym zdjęłam swoją torbę z oparcia. Jednak nie zdążyłam się w nią zapakować, bo poczułam, że moje krzeselko jedzie do tyłu i zostaje odwrócone razem ze mną w drugą stronę.

Przytrzymałam się lewą dłonią krzesła i mój segregator wraz z torbą spadły na podłogę. Nie widząc żadnej podpory, która mogłaby mnie ocalić przed upadkiem na podłogę, bez namysłu drugą ręką pacnęłam w prawo, lądując dłonią na udzie. Twardym udzie. Nie moim udzie. Jego udzie.

Tak, to zdecydowanie było udo K.

Spadł mi kaptur z głowy, a włosy zasłoniły częściowo moją twarz. Byłam zdezorientowana tym, co się właśnie stało, więc szybko poderwałam głowę, by spojrzeć na właściciela uda. To był ruch, który pozbawił mnie logicznego myślenia.

Mężczyzna jedną dłonią odsunął moje włosy i spojrzałam w oczy, które były niesamowite. Tak jasne, jakich nigdy nie widziałam. Błękitne wręcz tęczęwki z szarymi otoczkami i ciemniejszymi

plamkami tuż przy źrenicach, osadzone na pięknej twarzy o prostym nosie i wyraźnych kościach policzkowych oraz ustach... Jezu, facet nie może mieć takich ust! On nie powinien tak wyglądać!

Magia, zapierająca dech magia.

Jego wzrok również zatrzymał się na mnie i wydawało mi się, że na chwilę wstrzymał oddech. Lekko przekręcił głowę, jakby zapamiętując każdy szczegół mojej twarzy. Poczułam, że zaczynam się rumienić, ponieważ jego wzrok mnie najzwyczajniej w tym momencie skanował. Tak, jak niedawno skanował salę.

Co się tu właśnie działo?

Instynktownie zaczęłam się odchylać. Powoli ruszyłam dłoń spoczywającą na jego udzie, ale nie dane mi było dokończyć tego ruchu, ponieważ silne palce złapały mój nadgarstek, przyciągając mnie do niego z powrotem. Moja twarz zatrzymała się centymetry od daszku jego czapki. Poczułam na swoich policzkach bijące od niego ciepło, spuścił wzrok na moje usta, po czym znowu spojrzał mi w oczy. Następnie szepnął jedno słowo, które całkowicie mnie zaskoczyło i wydawało mi się, że sam siebie również zaskoczył, wypowiadając swoje myśli na głos:

– Blue.

Dosłownie gapiłam się na niego jak głupiutka nastolatka i nie mogłam przestać. W końcu sytuacja zaczęła robić się niekomfortowa, więc nerwowo szarpnęłam swoją dłoń w jego uścisku, próbując się wyrwać. Chwilę ją przytrzymał, ale poddał się i mnie puścił. Z lewej strony odezwał się głos:

– K., o co chodzi? – To był kolejny z mężczyzn, którego imienia nie poznałam.

Wyprostowałam się na krześle, szykując do ewakuacji. Jednak następne słowo, które padło ze śmiejących się ust faceta z kucykiem, usadziło mnie ponownie w miejscu:

– Podśluchiawczka?

Boże, ja? Przecież ja ich nie podśluchiwałam!

Prawda?

Wszyscy spojrzeli na mnie jak na zawołanie, a ja na nich. Na każdego z osobna.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć i czy jeśli cokolwiek powiem, nie zaszkodzę sobie w jakiś sposób, przyznając się do wścibstwa. Nie chciałam jednak wyglądać jak zastraszona łania, więc chcąc się jak najszybciej wydostać z tej sytuacji, odpowiedziałam tak cicho i wyraźnie tonem, jakiego oni używali, zwracając się bezpośrednio do Pana Burczymuchy.

A to wymagało ode mnie w tej chwili odwagi, ponieważ mężczyzna mnie bardzo onieśmiał:

– Wstanę teraz z tego krzesła i mam zamiar opuścić bar. Nie obchodzi mnie to, o czym rozmawialiście. Nie znam was, a wy nie znacie mnie, to wszystko, co mam do powiedzenia. – Po czym wstałam i schyliłam się po moje rzeczy rozrzucone na podłodze.

Bronx przycisnął stopą pasek mojej torby, po czym spojrzął na K. Ten prawie niewidocznie skinął głową i facet cofnął nogę.

Ach! Czyli wiemy, kto tu rządzi.

Podniosłam torbę z walącym sercem w piersi. Nie spoglądając więcej na żadnego z nich, spakowałam do niej swoje rzeczy i skierowałam swoje kroki prosto do drzwi. Gdy zakładałam ponownie kaptur, kusiło mnie, aby spojrzeć za siebie. Odwróciłam się, zerknąć na mężczyzn, a szczególnie na tego jednego o niesamowitych oczach.

Byłam zaskoczona, gdy K. patrzył bezpośrednio na mnie, a pozostali mężczyźni wpatrywali się w niego równie zaskoczeni z ironicznymi uśmieszkami na twarzach. W jego spojrzeniu było coś jednocześnie przyciągającego i pierwotnego. To było bardzo dziwne, ale przyjemne uczucie i miałam nadzieję, że kiedyś jeszcze go zobaczę. Wychodząc z kawiarni w chłodne majowe popołudnie, poczułam ukłucie w sercu.

ROZDZIAŁ 2

*Wolnym jest ten, kto nie został zniewolony przez żadną
nikczemność...*

Cyceron

Abigail

Z mocno naciągniętym na głowę kapturem szybkim krokiem przemierzałam trasę ze Starbucksa do kampusu. Byłam już w połowie drogi do domu. Układałam sobie w głowie, co najpierw zrobię po wejściu do mieszkania.

Pierwsze – prysznic, drugie – jestem głodna, trzecie – pusta lodówka.

Cholera, zwolniłam tempo marszu. Zapomniałam wejść do warszawianka kupić parę rzeczy. A dlaczego zapomniałam? Bo w głowie miałam tylko tych mężczyzn, a w szczególności jednego, którego reszta nazywała K. Uśmiechnęłam się na wspomnienie jego oczu, niesamowitych... ale zaraz, powiedział do mnie Blue?

Dlaczego?

Zastanowiłam się przez chwilę i nic nie przyszło mi do głowy. Jedynie to, że tym kolorem mogłabym nazwać barwę jego oczu, choć były jaśniejsze, niż niebieskie. Zostałam z tą myślą na potem. Postanowiłam wejść do domu i od razu wskoczyć pod prysznic. W następnej kolejności musiałam zająć się lodówką i tym, żeby nie paść z głodu.

Weszłam do mieszkanka, które znajdowało się na piętrze starej kamienicy należącej do najstarszej części kampusu. Kiedyś to mieszkali kolejni dozorczy tej konkretnej klatki schodowej. Lokal składał się z jednego pokoju i kuchni, teraz połączonych ze sobą w nawet dość schludny pokój z aneksem. Kuchnia miała meble w cytrynowym kolorze i zadbane urządzenia z nierdzewki. W łazience, o dziwo, była mała wanienka i wiszący nad nią prysznic. Całość dopełniały białe kafelki i sanitariaty. Byłam zachwycona tym mieszkankiem. Nigdy nie myślałam, że przy uczelni trafią mi się tak świetne warunki do mieszkania. To było moje pierwsze w życiu mieszkanie na ziemi, gdzie czułam się bezpiecznie.

Gdy brałam prysznic, zrobiło mi się smutno na myśl o tym, że do września będę musiała się pożegnać z moją małą oazą spokoju. Ale kończyłam uniwersytet i musiałam „iść na swoje”. Miałam już parę opcji, łącznie z wyszukaniem odpowiedniej pracy. Nie mogłam działać na ostatnią chwilę, to nie wchodziło w rachubę.

Praca? Oczywiście w policji.

Mój wykładowca, emerytowany major chicagowskiej policji, Sam Andrews, miał oko na moje poczynania i właściwie dzięki niemu mogłam liczyć na pracę w największym posterunku w mieście. Był przeziłym starszym panem o niesamowitej wiedzy. Kilka razy werbowano go do FBI, ale nigdy się nie skusił. Twierdził, iż „ci panowie” to żółtodzioby, nieznające się na prawdziwej robocie.

Po prysznicu ubrałam się w babciny, bawełniane czarne komplety bielizny, wciskając w stanik moje cycki w dość obfitym rozmiarze C. Wrzuciłam szybko białą podkoszulkę, szare legginsy i obszerny granatowy sweterek w serek. Mój ulubiony. Związałam włosy w wysoki kucyk na czubku głowy, napaćkałam kremu nawilżającego na twarz i wskazując w moje wysłużone granatowe converse, poszłam po żarcie.

Po drodze wystukałam SMS-a do Doris z pytaniem, co u niej i czy chata cała. Bliźniaki potrafiły dać nieźle popalić. Wrzuciłam

telefon do tobołu i weszłam dziarsko do sklepu. W kilka minut ogarnęłam wszystko, co potrzebuję, czyli ryż po chińsku, surowe pierśi z kurczaka i mrożoną mieszanę warzywną. Teraz kierowałam się już w stronę kampusu, a moje myśli znowu zahaczyły o mężczyznę o pseudonimie K.

Ciekawiło mnie, jak miał na imię i czy rzeczywiście zaczynało się ono na tę literę. Może był Killianem albo Karlem? Uśmiechnęłam się pod nosem na wspomnienie jego zaskoczonej twarzy, kiedy na mnie spojrzał. Nawet przez sekundę nie poczułam się, jakby był moim widokiem rozczarowany, a to dało mi nadzieję, że mogę się podobać. Pan Burczymucha zdecydowanie mógł do takich należeć.

Byłam już pod domem, przeskoczyłam krawężnik i weszłam na chodnik prowadzący do mojej klatki schodowej. Pograżona w myślach, nie zauważyłam zbliżającej się do mnie blondynki z telefonem w ręce i w ostatniej chwili zobaczyłam, jak wypada jej z ręki po zderzeniu ze mną. Schyliłam się, aby go podnieść, jednocześnie przepraszając za moją niezdarność. Kiedy mój wzrok powędrował na chodnik, zobaczyłam czarny iPhone w rozsypce. Zaczęłam zbierać pospiesznie baterię i obudowę w jedną dłoń, a paznokciami drugiej próbowałam złapać kartę SIM. Nie było to łatwe, więc oddałam jej resztki urządzenia. Już miałam sobie pomóc drugą ręką zebrać z chodnika tę cholerną kartę, kiedy za plecami usłyszałam hamujący z piskiem pojazd. Poderwałam się wystraszona i chciałam się odwrócić, żeby zobaczyć czy przypadkiem ktoś nie próbował mnie rozjechać. Jednak nie zdążyłam, bo w tym właśnie momencie nieznajome ręce złapały mnie w pasie i pociągnęły do tyłu, odrywając moje stopy od chodnika. Zobaczyłam niewzruszoną twarz blondynki, która nie przypominała już tej rozhisteryzowanej przed chwilą na widok roztraskanego telefonu kobiety. Obraz jej przesłoniła mi narzucona na głowę szmata, moje ciało walnęło na twarde podłoże i usłyszałam dźwięk zasuwanych drzwi. Ktoś szarpnął mnie silnie za ramię i odchylił moją głowę w bok. Ukłucie w szyję wzdrygnęło mnie, zdążyłam jeszcze usłyszeć:

– Wypierdalały stąd!

I zanim zdałam sobie sprawę, że trzymałam w dłoni zaciśniętą kartę SIM... ogarnęła mnie ciemność.

Po tym, jak ocknęłam się, trzęsąc z zimna na betonowej podłodze, zorientowałam się, iż jestem w jakiejś piwnicy i ktoś właśnie otwierał do niej skrzypiące drzwi. Dźwięk przypominał pęknięcie metalu i uderzył w moją bolącą głowę jak rozpędzona lokomotywa. Skrzywiłam się na to doznanie, ale pomimo to włączyłam myślenie, ponieważ wiedziałam już, że zostałam porwana.

Co powinnam zrobić w tym momencie? Miałam przeszkolenie, znałam podstawy samoobrony i byłam w stanie zaatakować przeciwnika, ale w tej chwili to nie miało sensu, bo nie dałabym rady. Przecież byłam związana. Moje próby uwolnienia się z więzów zostały udaremnione, ponieważ ktoś wchodził do pomieszczenia, w którym mnie przetrzymywano. Musiałam sprawdzić swoją sytuację, a tylko spokój w tej chwili mógł mnie uratować. Położyłam się szybko na betonie i przestałam ruszać, udając, że się jeszcze nie ocknęłam. Trwało to jakąś chwilę i gdy tak leżałam, zorientowałam się, że ściskam coś w dłoni... mały kwadracik? Karta SIM z telefonu blondynki!

Usłyszałam kroki. Osoba, która się zbliżała, stawiała je szybkie i krótkie.

Dziecko?

Czułam, że ten ktoś się nade mną pochylił i zaczął mi się przyglądać. Nie poruszyłam się w dalszym ciągu i spowolniłam swój oddech. Nagle z mojej głowy została zerwana szmata i poczułam na twarzy powiew zimnego powietrza, ale pomimo tego nie otworzyłam oczu. Bo tak naprawdę to bałam się je otworzyć i umierałam ze strachu. Wyczułam szturchanie w żebra, raz, drugi, ale nie zareagowałam. W pewnym momencie usłyszałam gruby męski głos,

który powiedział coś w nieznanym języku.

Francuski? Do cholery, gdzie ja byłam... i na tym moje pytanie stanęło, ponieważ dostałam w twarz lodowatą wodą!

– Jezu Chryste! Przestańcie! – krzyczałam w przerwach, łapiąc powietrze jak karp, kaszląc i plując wodą.

– Proszę, nie! Tylko nie zimna woda! – łkałam.

Już wcześniej było mi diabelnie zimno, a teraz ta lodowata i śmierdząca cieś, czymkolwiek była, spływała po mojej twarzy, mocząc moje ubranie na piersiach. Nienawidziłam zimna i moje udawanie nieprzytomnej wcale mi nie pomogło.

Otworzyłam oczy i ku mojemu zdziwieniu zobaczyłam, że stała przede mną mała drobna kobieta. Jednak to nie było dziecko, co mi trochę ulżyło. Patrzyła na mnie, mierząc mnie wzrokiem, po czym odwróciła się i oddała wiadro stojącemu obok mężczyźnie, którego w pierwszej chwili nie dostrzegłam.

W pomieszczeniu było ciemno, jedynie snop światła z korytarza za drzwiami oświeślał ich sylwetki. Nie widziałam dokładnie przez zalane wodą oczy, ale miałam wrażenie, że kobieta była w podeszłym wieku. Oczywiście mogłam również się przyjrzeć mężczyźnie, który gwałtownie kucnął nad moimi nogami, wyciągnął nóż zza pasa i rozciął moje więzy. Kiedy sznur opadł, na chwilę utkwiał we mnie swój wzrok, jednak i tak nie byłam w stanie przyjrzeć się mu dostatecznie dobrze. Kobieta zbliżyła się z prawej strony, a on wstał i podszedł z lewej, po czym oboje złapali mnie za ramiona. Niespodziewanie szybkim szarpnięciem postawili mnie na nogi, natychmiast kierując się w stronę drzwi.

– Gdzie mnie zabieracie! – Zaczęłam się szarpać i stawiać opór.

– *Nous allons!* – Krzyknął mężczyzna, pokazując wolną ręką w stronę drzwi.

Aha, wychodzimy.

Wyprowadzili mnie na korytarz, który przypominał swoją budową stare tunele z Europy. Widziałam takie w niejednym filmie z okresu

drugiej wojny światowej. Słabo oświetlony korytarz miał po obu stronach kilkoro drzwi. Starałam się je policzyć, choć sama nie wiedziałam, po co. Zanim doszliśmy do kraty zamkniętej na skobel z kłódką, naliczyłam ich osiem. Kobieta puściła moje ramię i wyciągnęła z kieszeni spodni pęk kluczy. Otworzyła kratę i mężczyzna szarpnął mnie w nieznanym kierunku. Wypchnął mnie z tunelu i zorientowałam się, że na dworze było zupełnie ciemno. Kobieta do nas dołączyła i ponownie złapała mnie za ramię, kierując nas ścieżką pomiędzy niskimi krzakami.

Na Miłość Boską, gdzie ja byłam?! Myśli kaskadą zalewały moją głowę.

Rozglądałam się gorączkowo dookoła, wyęzając wzrok, ale oczy miałam nadal pełne kropelek wody, która cały czas kapłała mi z włosów. Przeszliśmy jakiś kawałek i zauważyłam nad głową wiszące na drzewach pojedyncze żarówki. Prowizorka, ale było, choć odrobinę widać, gdzie postawić stopy. Ścieżka była jednak wyboista i było ciemno jak w dupie, ponieważ potykałam się bezustannie. Na szczęście silne ręce mężczyzny utrzymywały mój ciężar, w innym przypadku zaryłabym twarzą w te wyboje.

Nagle doszliśmy do wzniesienia ze stromymi schodami i zrobiło się jaśniej. Wspięliśmy się po kamiennych omszałych stopniach i moim oczom ukazał się wysoki mur, a pośrodku niego niewielka metalowa furtka, za którą ktoś stał. Gdy przez nią przechodziliśmy, zerknęłam na człowieka, który ją otwierał, i dostrzegłam wysokiego mężczyznę w kominiarce na głowie z karabinem w dłoniach.

Chryste, nie było dobrze. Za cholerę nie było. Byłam przerażona.

Odwrociłam głowę, sztywno maszerując przed siebie i po chwili zobaczyłam dom z kamienia w stylu przypominający wiktoriański. Podeszliśmy do budynku z boku i kobieta zapukała trzy razy w drewniane masywne drzwi. Słysząc było przekręcany zamek i po chwili weszliśmy do środka, gdzie było już jaśniej i cieplej. Kolejny mężczyzna, widząc mnie, naciągnął szybko na twarz kominiarkę. Kurczę, nie chciał, abym go widziała, czyli była szansa, że może

mnie nie zabiją. Zaczynałam się znowu trząść.

Korytarz się kończył i weszliśmy na klatkę schodową. Tym razem zesliśmy w dół po zimnych, wyslizganych przez czas kamiennych schodach i albo mi się wydawało, albo było coraz cieplej. Boże kochany, tak pragnęłam ciepła!

Zesliśmy do dużego pomieszczenia, zarówno podłoga, jak i ściany z sufitem, wyłożone były starą cegłą. Dookoła mnie wszędzie stały lub wisiały przeróżne i przedziwne przyrządy z drewna i metalu. Nie miałam pojęcia, do czego mogły służyć, ale wyglądały dość niebezpiecznie. I nagle mnie olśniło – czyżby to były narzędzia tortur?! Spiełam się, a kobieta dostrzegła w moich oczach strach. Zrozumiała, co mnie przeraziło.

– Nie bój się – powiedziała po angielsku, co mnie kompletnie zaskoczyło i wytrzeszczyłam na nią oczy.

– Tobie akurat nic tutaj nie zrobią – dodała i wyczułam w jej mowie wyraźnie obcy akcent.

Francuzka! Byłam we Francji! Zalała mnie fala paniki i wstrząsnęło mną, ponieważ znalazłam się w Europie! W jaki sposób wywieźli mnie tak daleko od domu?! Łzy przesłaniały mi oczy. Ona nie odpowie mi na to pytanie, ale postanowiłam spróbować wyciągnąć z niej jakiegokolwiek informacje.

– Skąd to wiesz, że nic mi nie grozi?

Uśmiechnęła się do mnie złośliwie, ukazując wstrętne żółte zęby. Dopiero teraz przyjrzałam się jej dokładnie. Była stara i brzydka, nie byłam w stanie dłużej na nią patrzeć, więc skierowałam wzrok na ściany obwieszone żelastwem. Starucha jednak nie przestając się śmiać, odpowiedziała mi na pytanie:

– Nie powiedziałam ci, że nic ci nie grozi... powiedziałam, że akurat tutaj nic ci nie zrobią.

Co takiego?

– Dużo chcą za ciebie zapłacić.

Chryste.

ROZDZIAŁ 3

Cierpienie jest częścią dorastania. Dzięki niemu się uczymy.

Dan Brown

Abigail

– Co masz na myśli, mówiąc, że dużo zapłacą? – podniosłam głos wyżej. – Powiedz mi, proszę.

Kobieta spojrzała na mnie i chwilę się zastanawiała.

– Będziesz sprzedana.

Zachłysnęłam się powietrzem, a ona kontynuowała:

– Jeśli klient zapłaci za ciebie odpowiednie pieniądze, zabiorą cię stąd, a jeśli nie zapłaci... – urwała, zaglądając mi w oczy – nie martw się, zapłaci. – Znowu wystawiła te brzydkie kły w szerokim uśmiechu i zmierzyła mnie od stóp po głowy. – Jestem pewna, że będziesz kogoś kosztowała fortunę.

Nie wierzyłam w to, co się działo. Uruchomiłam moją obolałą głowę. Porwano mnie, chciano sprzedać... Chryste, wpadłam w wielkie gówno. Padłam ofiarą handlu ludźmi. Jak to się stało, że mnie to spotkało? Obserwowali mnie czy wyłapali mnie, ot tak, na ulicy?

Myśl Abi, myśl.

W głowie pojawiła mi się scena z rozbitym telefonem. Zaraz,

zaraz... Blondynka, do której należał przedmiot, nawet nie zareago-
wała, kiedy mnie zwinięto z chodnika, jak niesfornego dzieciaka!
Coś było na rzeczy. Wiedzieli doskonale, kogo porywają...

– Możesz mi powiedzieć, kto ma za mnie zapłacić? Kim są ci
ludzie? – Błagałam ją wzrokiem, aby mi odpowiedziała. Kobieta
odetchnęła ciężko i zauważyłam jej wahanie.

– Słuchaj, dziewczyno, zapłaci handlarz.

– Jak to handlarz? A wy kim jesteście? – Byłam zdezorientowana.

– My nie jesteśmy handlarzami.

Jasne.

– My jesteście tylko złodziejami – dokończyła kobieta.

Jak cholera! Pieprzeni porywacze. Chciałam jej wygarnąć, ale
musiałam powstrzymać swoje emocje, jeżeli chciałam cokolwiek
się dowiedzieć.

– Jeśli jesteście... tylko złodziejami, to kto jest handlarzem?

– Ja – odpowiedź padła zza moich pleców.

Odwróciłam głowę w kierunku, skąd doszedł mnie głos.

Szpakowaty mężczyzna w ciemnym garniturze schodził właśnie
z ostatnich kilku stopni. Podszedł do nas niczym nowojorski cwa-
niak, kołysząc się na boki, z dłonią schowaną w kieszeni spodni.
Był wysoki i szczupły, miał lekki wąs i krzaczaste brwi, ale nie do-
strzegłam koloru oczu. Wyglądał dobrze po pięćdziesiątce. Biła od
niego nieprzyjemna energia, czułam w kościach, że nie był dobrym
człowiekiem.

Zresztą, jakby mógł nim być?

Nie spuszczał ze mnie wzroku, taksując mnie od góry do dołu
i z powrotem. Miałam już podwójną gęsią skórkę, jego spojrzenie
było tak bardzo nieprzyjemne. Zauważyłam, że starzec lekko się
wycofał i stanął bliżej kobiety. Widać nie tylko u mnie wzbudzał złe
odczucia.

– Beatrice – zwrócił się do kobiety. – Umyj ją, śmierzdi! –
Spojrzał na mnie i kącik ust z jednej strony unióś mu się delikatnie,

tworząc przy tym lekki, pogardliwy uśmiech na twarzy. Ewidentnie chciał mnie zawstydzić i poniżyć. Takie zachowanie wpływało na ofiary w sposób przemyślany. Manipulacja mająca na celu zasiańia w osobie więzionej ziarna zwątpienia, wzięcia na siebie winy, za to co ją spotkało. Niedoczekanie, fiucie. Nie byłam taką osobą, byłam prawdziwą ofiarą.

– Tak jest, panie Laurent. — Kobieta skinęła głową.

Beatrice, więc tak miała na imię ta stara kwoka. Ścisnęła moje ramię i wraz ze starym zaciągnęli mnie do pierwszych drzwi po naszej lewej stronie. Stary, bo teraz go widziałam już bardzo dokładnie, był... bardzo stary, a przynajmniej na takiego wyglądał. Łysiejąca głowa z resztkami prawie białych włosów przy skroniach, poorana zmarszczkami twarz i szare, przekrwione oczy. Niechlujny wygląd doskonale pasowałby na bezdomnego... Cholera! I śmierdział! To on walił na cały hol, a nie ja! W moich myślach pojawił się na moment obraz Jacka, ponieważ stary był tym samym typem obleśnego drania. I jak szybko się pojawił się w mojej głowie, tak zniknął, pozostawiając po sobie niesmak.

Podeszliśmy do drzwi i śmierdziel je otworzył, wchodząc przede mną. To była łazienka i stanęłam w miejscu. Nie, no chyba nie zamierzał tam ze mną być, kiedy miałam się umyć?! Wyszarpałam się z jego uścisku, ale Beatrice przepchnęła mnie przez drzwi. Byliśmy wszyscy razem w niewielkim pomieszczeniu. Rozejrzałam się niepewne i zauważyłam, że ściany były całe w białych kafelkach, które ciągnęły się aż po sufit. W niektórych miejscach widniały na nich ciemniejsze rdzawe smugi, które nie były wzorem, ale czymś, co przypominało niewytartą dobrze krew. Przełknęłam. Znajdował się tu prysznic bez kotary, niewielka umywalka, a nad nią lustro. Po przeciwnej stronie stała toaleta... bez sedesu. Choć w duchu byłam przerażona, to pragnęłam tylko ciepłej wody na moim zmarzniętym ciele. I bez obecności tego starucha w pomieszczeniu. Jakby czytając mi w myślach, podszedł do mnie i mocnym szarpnięciem za

ramię, odwrócił mnie tyłem do siebie. Już chciałam mu się wyrwać, ale poczułam, że złapał więzy na moich nadgarstkach i je rozciął.

– Rozbieraj się! – Beatrice popchnęła mnie na środek i nakazała ręką pośpiech.

– Nie rozbiorę się przy nim. Nie ma, kurwa, mowy! – Nerwowo przesunęłam się do tyłu pod ścianę.

Kobieta spojrzała na starego i szybko coś do niego powiedziała, na co on zarechotał jak stary traktor, pokazując przy tym brak swojego uzębienia. Żółć podeszła mi do gardła. Po chwili odpowiedział jej bełkotem, ciężkim do zrozumienia, podejrzewam nawet gdybym znała francuski, i po już po sekundzie razem śmiali się w głos. Coś ohydneho!

– Mój mąż, Paul, mówi – kobieta odezwała się nagle do mnie poprzez śmiech – że chciałby popatrzeć na twoją cipkę, zanim ją zabiorą.

Oniemiałam. Dwie stare świnię, zboczone oblesnie i... Brakowało mi słów, ale postanowiłam jednak otrząsnąć się i zebrałam się na odpowiedź tylko po to, żeby ją wkurzyć.

– Jak chce popatrzeć, to ty musisz wyjść! – Zaryzykowałam, ale widząc, że kobiecie uśmiech zastygł na twarzy, poklepałam się mentalnie po ramieniu. Mam cię, starucho.

Beatrice szybko podeszła i złapała mnie za włosy, przyciągając moją twarz do swojej. Złapałam jej nadgarstki, odciągając od siebie, ale stary doskoczył do nas i popchnął mnie na ścianę. Kobieta, przewiercając mnie na wylot swoim bazylijszkowym wzrokiem, warknęła:

– Myślisz, że jesteś taka mądra, dziewucho? Ale ja ci coś powiem, nie igraj ze mną i moim Paulem, jeszcze za ciebie nie zapłacono – odepchnęła mnie gwałtownie. – A teraz szmaty w dół i się myj. My sobie popatrzymy. – Cofnęła się i oboje oparli się o ścianę naprzeciw prysznicza.

Jasna cholera. Nie miałam wyboru i postanowiłam schować na razie moją dumę. Musiałam wejść pod prysznic i się rozgrzać, to pragnienie było silniejsze od mojego wstydu. W końcu to stary

pryk, który już chyba nie mógł... mnie chyba zgwałcić, prawda? Przynajmniej taką miałam nadzieję. Podjęłam decyzję i odwróciłam się tyłem do nich, zaczynając zrzucac z siebie mokre ciuchy. W dłoni ścisnęłam cały czas kartę SIM i nie mogłam się z nią zdradzić.

I co teraz, na Boga, miałam z nią zrobić? Spojrzałam na miseczki mojego biustonosza i ukradkiem wsunęłam kartę pod prawą. Zdejmując z siebie bieliznę, przytrzymywałam kartę palcami przez miękkie materiały, żeby nie wypadła. Zdjęłam stanik i delikatnie zwinęłam go, kładąc na posadzce obok reszty ubrań. Jeśli je przeszukają, to leżą. Musiałam jednak zaryzykować.

Będąc naga, było mi cieplej niż w ubraniach. Weszłam pod prysznic, odkręciłam gorącą wodę, a gdy strumień spadł na podłogę, sprawdziłam dłonią temperaturę i przymknęłam oczy z ulgą. Tak! Cieplutka, w sam raz i nie musiałam regulować kranu. Nie było żadnych przyborów toaletowych, ale miałam to w dupie. I miałam też tam dwoje staruchów stojących pod ścianą i ekscytujących się moją nagością. Nawet nie spojrzałam w ich stronę. Było mi tak bardzo ciepło. Przypomniała mi się ostatnia kąpiel w moim mieszkanku, przed fatalnym wyjściem z domu po zakupy. Boże, czemu poszłam do tego cholernego sklepu! Przez przystojnego mężczyznę spotkanego w Starbucksie, straciłam zdolność logicznego myślenia. Gdybym poszła do sklepu bezpośrednio po wyjściu z kawiarni...

– Och, mój Boże kochany – szepnęłam do siebie, zalewając się łzami. – Jak mam się stąd wydostać? Powiedz mi jak?!

Zakręciłam wodę i zaczęłam rozglądać się za czymś, czym mogłabym się wytrzeć. Nie było niestety czym. Odwróciłam się do staruchów, zakrywając rękami piersi i moją pleć, a gdy Beatrice znowu się triumfalnie uśmiechnęła, spojrzałam na starego i coś zobaczyłam? Szczerzącego się kutasa, trzymającego ręcznik.

Wspaniale, jednak nie zrezygnowałam. Nie tak to miało być i żeby znowu nie zmarznąć, ruszyłam w ich stronę. Podchodząc na odległość wyciągnięcia ręki, nie odsłoniłam tego, na zobaczeniu czego

staremu zależało najbardziej. Odsunęłam rękę od mojej piersi i wyszarpałam mu ręcznik. Szybko się odwracając, owinęłam się nim szczelnie. Materiał był miękki. Gdy podeszłam do swoich ubrań, przypomniałam sobie, że były niestety mokre. Nie miałam wyboru i musiałam je założyć. Było to nieprzyjemne, wkładając je na siebie, ale po paru chwilach byłam gotowa. Upewniłam się, że karta SIM była bezpieczna w staniku i ruszyłam w stronę staruchów. Nie wiedziałam, co mnie czekało, ale nie mogłam się załamać.

Wyszliśmy z łazienki i Beatrice skinęła głową, abym ruszyła za nią. Podeszła do kolejnych drzwi na końcu holu i otworzyła je kluczem, puszczając mnie przodem.

– To twoje miejsce na czas, aż pan Laurent cię zabierze – oznajmiła, stojąc w drzwiach.

Pokój był mały, biały, bez okna, była w nim tylko prycza z pustym materacem i... wiaderko. Świetnie, było po prostu wspaniale. To była cela. Usłyszałam za sobą zamykanie drzwi na zamek, ale nie miałam siły się odwrócić, bo dopadła mnie rozpacz. Jak, w tak krótkim czasie, mogło mi się coś takiego przytrafić?

Wracałam myślami do całego zdarzenia i blondynka z telefonem zajmowała moje myśli. Musiała mnie wcześniej obserwować, prawda? Dlaczego w ogóle ci ludzie mnie wybrali? A może mnie z kimś pomylili... Możliwości było wiele, miałam tylko nadzieję, że dowiem się, o co w tym wszystkim chodziło.

Minęły godziny, kiedy zaburczało mi w brzuchu i nagle poczułam ogromny głód. Słowo *ogromny* nawet nie oddawało tego, w jakim stanie był mój żołądek. Nie jadłam nic od co najmniej doby. Oni chyba nie chcieli sprzedać zagłodzonego trupa? Czas nadal leciał, mijały kolejne minuty, godziny... aż w końcu ktoś otworzył drzwi. Pojawił się w nich staruch z tacą. W metalowej misce, przypominającą taką dla psa, przyniósł mi jedzenie, a obok niej dojrzałam dwie kromki chleba. Nie wiedziałam, czy zabrali to je jakiemuś Burkowi i w sumie było mi to obojętne, bo chciałam już

to zjeść. Stary zostawił naczynie na podłodze i wyszedł. Rzuciłam się na papkowatą zupę i pochłonęłam wszystko w pięć minut. Nie była smaczna, ale nie zastanawiałam się, z czego była zrobiona. Nie mogli mnie przecież otruć, no i najważniejsze, zupa napełniła mój żołądek.

Odstawiłam na podłogę przy drzwiach miskę i położyłam się na pryczy. Chciałam przeanalizować wszystko kolejny, setny raz, bo na pewno coś pominęłam. Doszłam do wniosku, że przed wrzuceniem mnie do auta miałam jeszcze ze sobą mój toból. Możliwe, że go nadal mieli. Oczywiście o moim telefonie mogłam zapomnieć, bo go wyrzucili. Doris wykonała zapewne z milion połączeń do mnie i do tej pory już wszczęła poszukiwania. Byłam tego pewna, lecz nic mi to nie dawało. Ona nawet nie pomyśli, że mogło mnie już nie być w Stanach.

Ogarnęło mnie znowu przygnębienie i łzy zaczęły mi płynąć po policzkach. Poczułam się bardzo zmęczona i zakręciło mi się w głowie. Zapadłam w sen.

Obudziło mnie uderzenie w twarz i zerwałam się do pozycji siedzącej, łapiąc za policzek. Nade mną pochylał się Laurent i wlepił we mnie swoje szare, wypłowiałe oczy.

To chuj! – O mało nie wykrzyknęłam mu tego w twarz.

– Pobudka, koniec spania. Czas na przejażdżkę – warknął.

Ściągnął mnie z pryczy za ramię i zbliżył swoją twarz do mojego ucha.

– Tylko bez popisów i brawury, konsekwencje mogą być nieoczekiwane... a tego nie polecam.

Przeszedł mnie dreszcz, a Laurent bez dalszego komentarza zaczął wyprowadzać mnie z celi. Przeszliśmy tę samą drogę, którą mnie tu wprowadzono. Na zewnątrz było ciepło i jasno. Rosa

pokrywała okoliczną trawę, więc zdecydowanie był to wczesny ranek. Mężczyzna poprowadził mnie do furgonetki z kierowcą w środku, przed którą przystanęliśmy tylko po to, aby mógł mi założyć na głowę czarny worek. Przypomniało mi się o mojej torbie i zanim wpakował mnie do samochodu, zapytałam odważnie:

– Czy wiesz może, czy mogłabym odzyskać swoją torbę? Jestem pewna, że mnie razem z nią... porwano... a jestem niedysponowana, jeśli wiesz, co mam na myśli – dokończyłam już ciszej, oczywiście kłamiąc.

Spojrzał machinalnie w dół na moje biodra, po czym jęknął i powiedział:

– Nic nie wiem, ptaszynko, o twojej torbie i szczerze... gównu mnie to obchodzi, ale... – i tu znowu poczułam go blisko mojego policzka – jednak może postaram się popytać tu i ówdzie. – Ścisnął dłonią mój pośladek.

Wciągnęłam głęboko powietrze, a on tylko się zaśmiał na moją reakcję.

– A teraz do środka i nie ściągaj worka. – Wepchnął mnie do auta. Zaraz po tym usłyszałam, jak mówił coś do kierowcy po francusku.

Czekaliśmy chwilę, facet pogwizdywał, a ja nie miałam odwagi uchylić materiału z twarzy. Czułam w piersi wielki kamień, bo temu człowiekowi było tak wesoło, a ja jechałam, Bóg jeden wiedział, gdzie i Bóg jeden wiedział, co będą ze mną robić. W głębi duszy już wiedziałam, że było to związane z niewolnictwem seksualnym, przecież na tym w głównej mierze odbywał się handel ludźmi. Zaczęłam cichutko płakać, bo nigdy tak naprawdę nie byłam jeszcze z mężczyzną w sytuacji intymnej. Przyczynił się do tego między innymi Jack, a później nie spotkałam nikogo, z kim mogłabym to zrobić. Liczyła się dla mnie tylko nauka, by zapewnić sobie jakąkolwiek przyszłość.

Otrzeźwiło mnie uderzenie czymś ciężkim o uda. Wyciągnęłam szybko ręce i pod palcami poczułam znajomy materiał. Mój toboł! Był ze mną. Przycisnęłam go do piersi, ale zaraz Laurent złapał

mnie za nadgarstki i zaczął je krępować. Przyczepił więzy na nadgarstkach do kolejnych i umocował je dodatkowo, do czegoś przy siedzeniu, bo nie mogłam nawet przesunąć się w bok. Ale nadal mogłam dłońmi ścisnąć na kolanach swoją torbę, kawałek mojego życia, albo tego, co z niego pozostało.

– To dla twojego bezpieczeństwa, ptaszyno... – odezwał się, kiedy mnie unieruchomił – a za torbę nie musisz teraz dziękować, mamy czas – powiedział, po czym brutalnie złapał mnie za krocze i ścisnął. Podskoczyłam na siedzeniu, bo to mnie bardzo zabolowało. Przytrzymał mnie w miejscu, dodając: – Myślę, że masz dużo do zaoferowania w podzięce.

Puścił mnie i zatrzasnął drzwi. Samochód powoli ruszył, a ja zastanawiałam się, co mi jeszcze los przygotował. Pomimo związanych rąk i zasłoniętej twarzy starałam się przeszukać moją torbę, by odnaleźć telefon... Tak, jak każdy w takiej sytuacji, miałam śmieszoną nadzieję, że wciąż tam będzie. Niestety. Był tam jedynie portfel, ale kiedy go sprawdziłam, okazało się, że bez dokumentów.

Oczywiście.

Zacisnęłam oczy, powstrzymując kolejną falę łez, lecz te były nieubłagane i lały się strumieniem.

Jechaliśmy kilka godzin, a przez ten czas siedziałam osłupiała i niezdolna do myślenia. Wyłączyłam się całkowicie, bo byłam zalamana tym wszystkim, co mi się przydarzyło, i coraz bardziej to do mnie docierało. Pojazd zaczął zwalniać i wszedł w ostry zakręt, a ja poczułam, że właśnie zjechaliśmy z drogi asfaltowej. Jechaliśmy przez około pięć minut jakimś chyba żwirowym traktem, po czym samochód lekko zakręcił i stanął.

Drzwi się otworzyły, poczułam powiew świeżego powietrza. Ścisnęłam mocniej mój tobół. Wyciągnięto mnie na zewnątrz i silne ręce złapały mnie od tyłu za ramiona, pchając do przodu. Nikt nie ściągnął mi worka.

– Idziemy, ptaszyno, czeka nas dużo pracy – krzyknął Laurent

gdzieś z przodu.

Szliśmy tak kawałek, po czym usłyszałam męski twardy głos tuż przy moim uchu:

– Schyl głowę i się zniż.

Zrobiłam to, przechodząc chyba pod czymś, i znalazłam się wewnątrz jakiegoś pomieszczenia. Stukot naszych kroków odbijał się echem. Miałam nadzieję, że to nie kolejna piwnica.

Następnie głos znowu się odezwał:

– Schody w dół.

Przystanęłam na chwilę, bo jak, na Boga, miałam zejść na dół z worem na głowie?

Jednak ręce *głosu*, który mnie prowadził przed sobą, były silne i utrzymywały mnie w pionie. Stopnie nagle się skończyły, więc stanęłam gwałtownie, co poskutkowało ugięciem się jednego kolana. *Głos* podciągnął mnie w górę i znów pchnął, bym ruszyła z miejsca. Usłyszałam znajomy już dźwięk otwieranych drzwi i wepchnięto mnie do środka kolejnego pomieszczenia. *Głos* się odezwał:

– Stań w miejscu i się odwróć.

Zrobiłam to.

Zdjęto mi worek z głowy i moim oczom ukazał się potężny, łysy mężczyzna, ale z brodą i jakimiś dziwnymi tatuażami na powiekach. Ponadto ubrany był w skórzane spodnie z kurtką, a na nogach miał buty na motor. Szarpnął mnie do siebie, łapiąc więzy, które przeciął wprawnym ruchem.

– Jest tak – oznajmił, stając w rozkroku z rękami na biodrach. – Ty jesteś posłuszna, nie wrzeszczysz, wzywając pomocy, współpracujesz i nie kombinujesz, bo... i tak nie uciekniesz. Stąd jest tylko jedyne wyjście, w sumie dwa, ale myślę, że zamiast kulki w głowę, zdecydujesz się być grzeczną i wyjedziesz stąd z twoim nowym właścicielem.

Że co? Jak to?

– Przecież już ktoś mnie kupił – wysapałam.

– Tak, mój szef, ale on jest tylko pośrednikiem i znajduje bogatych

klientów o, jakby to ująć, specyficznym guście.

Chryste!

– To ja tu nie zostaję?

– Tylko na okres szkolenia.

– Jakiego szkolenia? – Złapałam się nerwowo za gardło

– Przydatności do... powiedzmy, że do użyteczności. – Zaśmiał się. – Przejdiesz trening, a jeśli będziesz posłuszną uczennicą, to będziesz miała spokój, jeśli nie... sama rozumiesz. Masz czas do licytacji.

Byłam w totalnym szoku. Tych informacji rzucił na mnie za dużo!

– Ale jak to do licytacji, kiedy?

– Nie mam czasu na pogawędki, dowiesz się wszystkiego w odpowiednim czasie. A teraz, tak jak mówiłem, szkolenie. Zaczynasz wieczorem, im szybciej, tym lepiej.

Z tymi szokującymi wiadomościami zostałam zostawiona w małym pokoju bez okien, na dnie prawdopodobnie piwnicy, w przerażającym domu pod kontrolą szalonych ludzi i na obcej ziemi.

Nadszedł wieczór i przyszedł po mnie Głos wraz z młodym chłopakiem, może w moim wieku. Był blondynem o piwnych, migdałowych oczach. Ubrany w dres, miał dobrze zbudowaną sylwetkę, ale nie był za wysoki. Głos kazał mi iść za chłopakiem, a sam ruszył za mną.

Przeszliśmy długim korytarzem do małej salki znajdującej się na tym samym poziomie w piwnicy co moja cela. Po drodze nie widziałam innych drzwi czy pomieszczeń. Byłam tu sama. Gdy weszliśmy do środka, chłopak wskazał ręką, abym stanęła na środku pomieszczenia, i podszedł do komody stojącej w rogu. Głos nie wszedł za nami, tylko zamknął drzwi na klucz. Nade mną świecił dziwny metalowy żyrandol, który dawał światło tylko w miejscu, w którym stałam. Coś poruszyło się za mną i się wzdrygnęłam. Lekko spojrzałam przez ramię, ale dookoła panowały ciemności. Jakby ta salka nie miała ścian, tylko ciągnęła się

w nieskończoność. Nic nie zauważyłam i może jednak mi się wydawało?

Chłopak wyjął jakiś przedmiot z szuflady i powolnym krokiem ruszył w moją stronę. To, co trzymał w dłoni, okazało się... szpicrutą? Zmarszczyłam czoło, zaniepokojona, kiedy zatrzymał się naprzeciw mnie. Na Boga, nawet nie wiedziałam, że znałam nazwę tego przedmiotu.

– Rozbierz się do bielizny – powiedział pewnie.

Wytrzeszczyłam na niego oczy. Otworzyłam usta, aby się sprzeciwić, kiedy on w tym czasie wystawił szpicrutę przed mój nos. Zbliżył ją do mojej twarzy i delikatnie zaczął mnie nią dotykać pod brodą, lekko ją unosząc, a potem po policzkach. Zadrżałam na ten dotyk, ale nie z przyjemności, a ze strachu. Bałam się uderzenia, ale pomimo tego, odpyskowałam:

– Nie ma mowy, nie rozbiorę się!

Chłopak uśmiechnął się pod nosem.

– Sprzeciw nie jest dobrą postawą – kontynuował, przeciągając szpicrutą z policzka na moją klatkę piersiową i brzuch.

Milczałam.

– Więc jak? Powtórzę, rozbierz się do bielizny.

Nic z tego, nie miałam zamiaru tego zrobić i oznajmiłam mu dobitnie:

– Pierdol się! – I od razu pożałowałam tych słów.

W oczach chłopaka rosła irytacja. Zaczął się nachylać do mnie, ale nagle jego ciało się spięło i mężczyzna spojrzał w przestrzeń za mną.

Ruch za moimi plecami nie był jednak w mojej wyobraźni. Z ciemności wyłonił się Laurent. Stał obok chłopaka i patrząc na mnie, zwrócił się do niego:

– Dominiku, sam zajmę się szkoleniem – powiedział, po czym wyciągnął do niego otwartą dłoń, aby ten oddał mu przedmiot.

Dominik zacisnął szczękę, ale zaraz ją rozluźnił, starając się ukryć to, iż nie był zadowolony z nakazu Laurenta. Przekazał mu szpicrutę.

– A teraz zostaw nas samych – powiedział obojętnym, lekko znużonym tonem mężczyzna.

Chłopak spojrzał na mnie, spuszczaając głowę, i wycofał się

do wyjścia. Usłyszałam znowu zgrzyt przekręcanego zamka w drzwiach i zostałam sama z człowiekiem, który mnie przerażał.

– Ptaszyno... – Cmoknął językiem. – Nie jesteś zbyt mądra. – Podniósł szpicrutę i z całej siły uderzył mnie nią w pośladki.

Ból, którego tak się bałam, przeszył mnie na wskroś. Niemy krzyk rozdarł moje gardło i poderwałam głowę, patrząc w jego beznamietną twarz z niedowierzaniem i łzami w oczach.

– A teraz się rozbierz... Do naga.